

## Spotkanie z panią Dr Marią Jagowd – Wolską

Marek Jachacz

Z Panią Dr Marią Jagowd – Wolską spotkałem się tuż przed jej wyjazdem do Warszawy gdzie, jako uczestniczka powstania została zaproszona przez władze III RP na uroczystości obchodów 70 rocznicy Powstania Warszawskiego.

**MJ:** Pani doktor, dowiedziałem się, że została pani zaproszona do Warszawy by wziąć udział w obchodach 70 rocznicy Powstania Warszawskiego. Jaka była pani reakcja, gdy dowiedziała się pani o zaproszeniu?

**MJW:** Dla mnie to było wspaniałe uczucie, że pani prezydent zaprosiła wszystkich, mieszkających za granicą uczestników powstania, oraz osób im towarzyszących. Otrzymałam bilety lotnicze dla siebie oraz osoby mi towarzyszącej, i 5 dniowy pobyt w hotelu na czas trwania uroczystości. Miło jest wiedzieć, że o nas, to znaczy o uczestnikach powstania Polska pamięta. Powstańców mieszkających za granicami Polski jest jeszcze około 400. Nie wszyscy są jednak zdolni do odbycia tak długiej podróży. Dla mnie będzie to podróż bardzo ciężka, bo to jednak siedem godzin lotu do Monachium, tam czekanie na przesiadkę i następny półtoragodzinny lot do Warszawy.

**MJ:** Jak wyobraża sobie pani, pani doktor, swój pobyt w Warszawie?

**MJW:** Chciałabym przede wszystkim zobaczyć się ze znajomymi kolegami i odwiedzić groby przyjaciół. Dlatego, że z tej komórki, w której walczyłam, to znaczy w dowództwie Pułku „Baszta” u płk. Daniela, gdzie byłam łączniczką i sanitariuszką zostałam tylko ja. Nie mogę zapomnieć moich kolegów, którzy zginęli.

**MJ:** Co sprawiło, że postanowiła pani wziąć czynny udział w powstaniu? Czym kierowała się wówczas młodzież wstępując do Armii Krajowej?

**MJW:** Był to z całą pewnością patriotyzm i chęć zdobycia niepodległości. A jeśli chodzi o mnie, miałam 18 lat w czasie powstania. Byłam wtedy w harcerstwie. Była to 6 Żeńska Drużyna Warszawska Harcerstwa Polskiego przy gimnazjum Cecylii Plater-Zyberkówny. Z jedną z moich koleżanek uważałyśmy (uśmiech), że jesteśmy za mało aktywne. Do AK przyjmowano od 16 roku życia. W 1942 roku zapisałam się do WSK (Wojskowa Służba Kobiet). Więc wstąpiłyśmy do WSK i przeszłyśmy szkolenie sanitarne i łącznikowe. Moją szefową była pani doktor Kazimiera Komaniecka. Wszystkie praktyki i szkolenia były przez nią załatwiane. Praktyki odbywały się w szpitalach. Jak pan wie, szkoły, licea, gimnazja, uniwersytet, były zamknięte. Licea i gimnazja kończyło się na tajnych kompletach, a studenci medycyny pracowali, jako salowi. Zostałam przydzielona do zgrupowania Kryski w Porcie Czerniakowskim. Nie mieliśmy niestety wystarczającej ilości broni, dlatego ja wraz z grupą ok. 20 ochotników zostałam wysłana po broń na



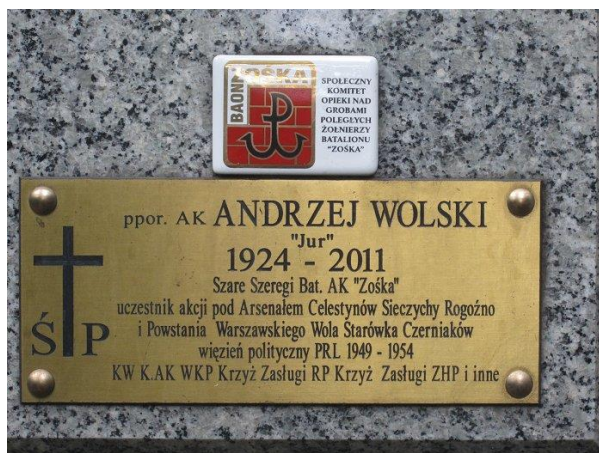
Kabaty. Udało nam się niezauważenie przeczołgać przez mokotowską stację pomp. Dalej starając się przejść przez pola na Sadybie, zostaliśmy złapani przez Niemców. Okazało się, że byli to chyba Ukraińcy. Chcieli nas rozstrzelać, lecz egzekucję wstrzymał wyższy oficer niemiecki. Chyba był Ślązakiem, mówił bardzo dobrze po polsku. Ten oficer przesłuchiwał nas po polsku i po niemiecku. W rezultacie, jako że nie mieliśmy powstańczych opasek, wypuścił nas w końcu i powiedział abyśmy chodzili po dwie, trzy osoby, nie więcej. Zginęła wówczas, postrzelona w brzuch, jedna z naszych koleżanek. Mnie, ponieważ byłam zraniona w głowę, doprowadzono do szpitala Elżbietanek na Mokotowie. Dowiedziałam się później, że część, która poszła inną drogą została złapana i rozstrzelana przez Niemców. Kiedy wyszłam ze szpitala, zgłosiłam się do WSK na Mokotowie i przydzielono mnie do dowództwa, jako sanitariuszkę i łączniczkę do Pułku „Baszta” pułkownika Daniela.

MJ: Pani mąż też walczył w powstaniu. Walczył na woli i Czerniakowie w słynnym batalionie „Zośka”, czy mieli państwo jakiś kontakt w tym okresie?

MJW: Zналиśmy się od 1940 roku. Byliśmy jednak w innych oddziałach, a była taka zasada, że jeśli nie było się w tym samym oddziale, to nie mówiło się nic. Pobraliśmy się dopiero w 1948 roku.

MJ: Czyli przez ten cały okres nie miała pani żadnych wiadomości.

MJW: Niestety nie. Nie miałam żadnych wiadomości. Nie wiedziałam również niczego na temat moich rodziców.



Chciałam panu jeszcze powiedzieć, bo powstanie jest kontrowersyjne. Niektórzy twierdzą, że powstania nie powinno być. Anders przecież był bardzo przeciwny powstaniu. Ja natomiast uważam, że gdyby nie było powstania, nie byłoby nawet Polski Ludowej. Dlaczego? Dlatego, że Stalin chciał udowodnić Churchillowi, że Polacy współpracują z Niemcami, że stoją z bronią u nogi i nic nie robią.

MJ: Być może chciał udowodnić, że ewentualne alianckie zrzuty broni mijają się z celem.

MJW: Druga sprawa to to, że w okresie międzywojennym młodzież polska była wychowywana bardzo patriotycznie, bez względu na pochodzenie socjalne. Szkoły wychowywały. Gdyby nie było zarządzenia powstania przez dowództwo, to powstanie i tak by wybuchło. Powstanie wybuchłoby spontanicznie i byłoby to jeszcze gorsze, bo Niemcy likwidowaliby nieskoordynowany opór o wiele szybciej i łatwiej. Czy to młodzi, czy starsi Polacy bez względu na środowisko, z jakiego pochodzili, nie chcieli by Warszawa, serce Polski, stolica była „wyzwalana” rękami katów Katynia, czy katów Wileńszczyzny. To było wiadome. Gdyby nie było zarządzenia, powstanie wybuchłoby i tak. Teraz zastanówmy się jak potoczyłyby się sprawy, gdyby powstania nie było. Możliwych jest kilka wersji. Pierwsza to taka gdzie z uwagi na zbliżający się front Niemcy wycofują się z Warszawy, mordują, lub wywożą ludność, a Warszawę, na życzenie Hitlera równają z ziemią. Druga, podobna. W obawie przed nadciągającą Armią sowiecką,

Niemcy opuszczają Warszawę bez walki, zostawiając w niej całą ludność. Następnie wchodzi Rosjanie. Budynki oczywiście wszystkie zostają. Skarby są wywiezione do Rosji. Ludność początkowo zostaje, a później czystka. Wielka komunistyczna czystka lat czterdziestych, rozpoczyna się o kilka lat wcześniej. Proszę pana, w 1948 roku, kiedy mój mąż siedział w komunistycznym więzieniu, ludność Polski wynosiła około 24 milionów. Były to głównie osoby starsze, młodzież, która została z powstania i dzieci. Aresztowano wówczas półtora miliona osób. Około 4 tysięcy ludzi rozstrzelano z fałszywych procesów. W tym okresie, kiedy mój mąż siedział zginęło, proszę pana, bez wieści około 60 tysięcy ludzi. Nie było aresztowania, nie było procesów, nie było kart śledczych. O tym historycy nie mówią w ogóle. W tamtych czasach nie można było o tym mówić. Rodziny nie mogły dochodzić tego, co stało się z ich bliskimi. Ale wracając jeszcze do powstania, gdyby go nie było, nie byłoby Polski Ludowej.

MJ: Chciałbym jeszcze zadać pani, pani doktor pytanie dotyczące powstańców, a w szczególności młodzieży, która brała udział w powstaniu. Dziś żołnierze powracający z np. Iraku, czy Afganistanu, mają do dyspozycji różnego rodzaju pomoc psychiatrów, psychologów, terapeutów. Podobnie dzieje się w przypadkach np. strzelaniny w szkole, dzieci są poddawane różnym terapiom. W tamtych czasach, z tego co wiem, tego rodzaju, fachowa pomoc nie istniała. Jak wtedy młodzież (16 letnie dzieci) radziła sobie psychicznie z bezmiarem okrucieństwa i cierpienia, czy utratą przyjaciół i bliskich, którzy ginęli w walce?

MJW: Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem. Trauma u niektórych została do końca życia. Natomiast mogłabym panu dać powojenne przykłady skutków przesłuchań prowadzonych przez Urząd Bezpieczeństwa. Ale to już innym razem.

MJ: Życząc udanej podróży, dziękuje bardzo za rozmowę.

## 70 rocznica mordu Polaków Warszawy popełnionych przez pułk Oskara Dirlewangera, zwanego rzeźnikiem Warszawy.



Oskar Dirlewanger, SS-Oberfurer i dowódca specjalnej jednostki karnej SS do zwalczania partyzantów, znany ze swego sadyzmu i odpowiedzialny za rozliczne zbrodnie wojenne popełnione w Polsce, Białorusi i Słowacji. Wyróżnił się on szczególną brutalnością w mordowaniu ludności cywilnej Warszawy. 5 sierpnia 1944 r. rozpoczęła się rzeź Woli. Niemcy wymordowali w ciągu kilku dni ponad 60 tys. Warszawiaków. Najbardziej skuteczną i bestialską okazała się jednostka „Dirlewanger”. Rzeź Woli nie była jedynym „dokonaniem” Dirlewangera podczas powstania warszawskiego. Miał też na sumieniu tysiące ofiar na Starym Mieście, Powiślu i Czerniakowie. Jego okrucieństwo było wręcz niewyobrażalne. Ocenia się, że w wyniku akcji dowodzonej przez niego formacji śmierć poniosło przynajmniej 60 000 ludzi, w większości cywili, znaczną część ofiar spalono żywcem.

Chciałbym tu przytoczyć jedno z zeznań świadka. Oto zeznanie Wandy Felicji Lurie, protokół nr 63, „Biuletyn Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce”, 1946r., str. 246-248.

„Tego dnia o godzinie 11-12 kazano wszystkim wyjść, pchając nas na ul. Wolską. Był straszny pośpiech i popłoch. Mąż mój był nieobecny i nie powrócił z miasta; zostałam z trojgiem dzieci w wieku 4, 6, i 12 lat, sama będąc w ostatnim miesiącu ciąży. Ociągałam się z wyjściem, mając nadzieję, że pozwolą mi zostać, i wyszłam z piwnicy ostatnia. Wszyscy mieszkańcy naszego domu byli już przeprowadzeni pod fabrykę „Ursus” na ul. Wolskiej przy Skierniewickiej, mnie też kazano tam iść; szłam już sama tylko z dziećmi; trudno było iść; pełno kabli, drutów, resztki z zapór, trupy, gruzy, domy paliły się z dwóch stron. Z trudem doszłam do fabryki „Ursus”. Z podwórza fabryki słychać było strzały, krzyki, błagania, jęki..., nie mieliśmy wątpliwości, że tam jest miejsce masowych egzekucji; stojących przy wejściu ludzi wpuszczano, a raczej wpychano do środka grupami po 20 osób. 12-letni chłopiec ujrawszy przez uchyloną bramę zabitych swoich rodziców i braciszka, dostał wprost szału, zaczął krzyczeć; Niemcy i Ukraińcy bili go i odpychali, gdy usiłował wedrzeć się do środka; wzywał matkę, ojca. Widzieliśmy więc, co nas tam czeka; o ratunku wykupienia się nie było mowy, pełno było wokoło Niemców, Ukraińców, samochodów.

Ja przyszłam ostatnia i trzymałam się z tyłu, stale się wycofując, w nadziei, że kobiet w ciąży nie zabijają. Zostałam jednak wprowadzona w ostatniej grupie. Na podwórzu fabryki zobaczyłam zwały trupów do wysokości 1 m. Zwały były w kilku miejscach; cała lewa i prawa strona dużego podwórza (pierwszego) była zastana masą trupów. Zauważyłam zabitych sąsiadów i znajomych [zeznająca robi szkic podwórza fabryki „Ursus”]. Prowadzono nas środkiem podwórza w głąb do przejścia wąskiego na drugie podwórze. W naszej grupie było też około 20 osób, w tym najwięcej dzieci od 10 do 12 lat; były dzieci bez rodziców, była też jakaś staruszka bezwładna, którą przez całą drogę niósł na plecach zięć, obok szła jej córka z dwojgiem dzieci: 4 i 7 lat; wszyscy zostali zabici-staruszkę zabito dosłownie

na plecach zięcia razem z tymże. Wybierano nas i ustawiano czwórkami i czwórkami prowadzono w głąb drugiego podwórza do leżącego tam stosu trupów; gdy czwórka dochodziła do stosu, strzelali z rewolwerów z tyłu w kark; zabici padali na stos; podchodzili następni. Przy ustawianiu ludzie wrywali się, krzyczeli, błagali, modlili się.



Ja byłam w ostatniej czwórce. Błagałam otaczających nas Ukraińców, aby mnie i dzieci ocalili. Pytali czy ja mam się czym wykupić. Miałam przy sobie znaczną ilość złota i to im dałam; wzięli wszystko, chcąc mnie wyprowadzić, jednak kierujący egzekucją Niemiec, który to widział, nie pozwolił im na to-a gdy błagałam, całowałam go po rękach-odpychał mnie i wołał „prędzej”; popchnięta przez niego przewróciłam się, uderzył też i pchnął mego starszego synka wołając „prędzej, prędzej ty polski bandyto”.

W ostatniej czwórce, razem z trojgiem dzieci podeszłam do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą rączkę starszego synka. Dzieci szły płacząc i modląc się; starszy, widząc zabitych, wołał, że nas zabiją, i wzywał ojca. Pierwszy strzał położył starszego synka, drugi ugodził mnie, następny zabił młodsze dzieci. Przewróciłam się na prawy bok; strzał oddany do mnie nie był śmiertelny: kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki i wyszła przez policzek; dostałam krwotok ciążowy. Przy krwotoku ustnym wyplułam kilka zębów, pewnie naruszonych kulą; czułam odrętwienie lewej części głowy i ciała. Byłam jednak przytomna i widziałam wszystko, co się dzieje dookoła. Obserwowałam dalsze egzekucje, leżąc wśród zabitych; wprowadzano dalsze partie mężczyzn; słychać było krzyki, błagania, jęki, strzały; trupy tych mężczyzn waliły się na mnie; leżało na mnie czterech mężczyzn; po tej grupie widziałam jeszcze partię kobiet i dzieci. Tak grupa za grupą, aż do późnego wieczora. Było już dobrze ciemno, gdy egzekucje ustały. W przerwach oprawcy chodzili po trupach, kopali, przewracali, dobijali żywych i rabowali kosztowności (mnie zdjęli z ręki zegarek; bojąc się nie dawałam znaku życia, a oni ciał nie dotykali rękami, tylko przez jakieś specjalne szmatki). W czasie tych okropnych czynności śpiewali i pili wódkę. Obok mnie leżał jakiś tęgi, wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce brązowej, w średnim wieku, długo rzeził. Oddali 5 strzałów, zanim skonał. W czasie tego dobijania strzały zraniły mi nogi.

Przez długi czas leżałam odrętwiała, przyciśnięta trupami, w kałuży krwi; byłam jednak przytomna i zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje; myślałam tylko o tym, jak długo będę tak konać i męczyć się.

Pod wieczór udało mi się zepchnąć martwe ciała leżące na mnie. Straszne ile było dookoła krwi”.

M.J.